

Walter Robert Corti

Przedmowa (fragmenty)

Bruno Goetz urodził się 6 listopada 1885 roku w Rydze. W jego żyłach płynęła krew Niemców bałtyckich oraz rosyjska, a młodość ukształtowały bezmiary morza i rosyjskich równin. Krajobrazy te działały nań przygnębiająco; musiał walczyć z depresjami, jakie w nim budziły. Pragnienie wybawienia pognało go na południe. Droga tej wędrówki prowadziła zarazem z demonicznych ciemności w jasność świata bogów. Pielgrzymem i bojownikiem aż po zwycięstwo pozostał Goetz do swych lat dojrzałych. Daremne pozostało pragnienie ujrzenia ruin starożytnego Neapolu i jego okolic, a największe marzenie – by choć raz zobaczyć Paestum – rozwiła sama śmierć. Goetz zmarł w Zurychu 19 marca 1954 roku.

Bruno Goetz czcił „bogów”. Stwierdzenie to brzmi antycznie – i taka też była jego cześć. Bogowie nie są jedynie demonami kryjącymi się w ciemnościach świata. Bóstwo istnieje, Bóg jest, „bogowie” działają. „Moja młodość – powiada Goetz w *Szkicu*

autobiograficznym – przypadła na okres jeszcze niewzruszonej, przesadnej wiary w cudowną moc mechanistycznego przyrodoznawstwa i powszechnej, ignoranckiej niewiary w religijne i metafizyczne moce życia. Odkąd tylko potrafiłem myśleć, zawsze byłem obcy i wrogi temu światu bez Boga i duszy, który w obu wojnach światowych pękł niby ropiejący wrzód, ujawniając swą piekielną tajemnicę. Mityczne moce, mityczne obrazy, bogowie, którzy – nierozpoznani – również dziś jeszcze istnieją w głębiach wszystkich dusz, stanowią źródło i podstawę moich poezji”. Bruno Goetz był człowiekiem, który żywił cześć dla mocy bytu. Gdy czcił go jako „bogów”, jego język stawał się uroczysty, postawa – ceremonialna, a poezja – sakralna. Dlatego też łatwo było – ale jakże niesłusznie – wziąć go za romantyka. Goetz jednak ani nie oplakuje świata nieodwracalnie utraconego, ani nie kultywuje w sobie zachwyty humanistyczną i zrekonstruowaną przeszłością. Jemu bowiem dane było „prapotęgi duszy i ciała ujrzeć w postaci bogów” (Posłowie do *Der Lobgesang*, 1927). „Bogowie z moich ballad nie są ani postaciami z legend czy baśni, ani alegoriami, lecz żywymi i aktualnymi mocami. Jeśli zwracamy się do nich – wychodzą nam naprzeciw. By móc się pojawić i działać, bogowie potrzebują ludzi; by wypełnić swe przeznaczenie, ludzie potrzebują bogów” (Posłowie do *Der Gott und die Schlange*, 1949). W stosunku do wszelkiego „nowego pogaństwa” Goetz zachowywał zdecydowany dystans. Między Bogiem a bogami istnieje zasadnicza różnica. „Bogami nazywamy archetypowe formy pojawiania się boskości w świadomości ludzkiej, które zatem zależne są od przemian tej świadomości w różnych epokach historycznych, podczas gdy sam Bóg istnieje bez zmiany poza wszelkimi formami obrazowymi”. Goetz musiał zdawać sobie sprawę, że taki pogląd zbliżał go do panteizmu. Problematyka, którą się zajmował, i sposób, w jaki to robił, zbliżały go do

Schellinga. Wszystko jest boskie; boskie są również moce wrogie Bogu, moce demoniczne, którym Bóg pozwolił działać w świecie, aby je kiedyś pokonać. „Wielka poezja wszelkich epok i ludów zawsze była bezpośrednim lub pośrednim samoobjawieniem demonicznych i boskich mocy – tu i teraz – poprzez obraz i twórcze słowo. Również dziś poezja, o ile jest rzeczywiście poezją, nie może być niczym innym”. Goetz walczył o „ostateczne pogodzenie i stopienie ducha pogańskiego z chrześcijańskim”, w czym widział „jedyne wyjście z tragicznego rozdarcia duszy europejskiej”. „Tu należy szukać – pisał – już to ukrytego, już to jawnego tła niemal wszystkich (moich) utworów... dopiero wiążąc się z boskimi praobrazami odnajdziemy twórczy ośrodek naszej egzystencji” (*Szkic autobiograficzny*).

Mówienie o „bogach” gorszy i drażni nie tylko chrześcijanina, lecz także człowieka nauki, który tę zagadkę uważa za dawno wyjaśnioną, a ich samych uznaje za zmarłych. Jakże w czasach prawdziwej inwazji demonów można sławić takich „bogów”, którzy przedarłszy się przez źle strzeżony próg głębi duszy, opanowują i gubią całe narody? Czy ktoś, kto wywołuje ich i czci, nie naraża się sam na śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie kontakt z nimi niesie ze sobą? I czy sam nie stawia się w najfatalniejszym i dwuznacznym świetle? Prawdziwym cudem w życiu Goetza było to, że pokonał interno „królestwa bezprzestrzennego”, że potrafił znaleźć wyjście z chaosu jego wizji i odnalazł drogę do boskich mocy bytu i do świętego słowa.

W opactwie Des Moines d'Amay-Sur-Meuse znalazł schronienie wspaniały obraz przedstawiający ewangelistę Mateusza. Wielka głowa, broda, spokojne, zamysłone oczy; na lewym ramieniu świętego wspiera się mały uskrzydłony anioł, który szepce mu coś do ucha. Ten sam motyw opracował Rembrandt jeszcze wyraźniej na obrazie przedstawiającym św. Mateusza (z 1661 r.),

znajdującym się dziś w Luwrze. Widzimy na nim ewangelistę, który z przygotowanym piórem w ręku słucha uważnie „natchnionych słów” *angelos*, wysłańca Bożego. Tego, co pisze, nie wymyślił sam, ani sam sobie nie powiedział. To Bóg jest autorem owej *teopneustii*, a Mateusz jedynie słuchającym i posłusznym pisarzem. Nic nie wiedzielibyśmy o Bogu, gdyby on sam się nam nie objawił. A cóż się dzieje, kiedy poeci mówią nam o „bogach”? Skąd o nich wiedzą? Czy bogowie są jedynie tworem ich wyobraźni, ich fantazji? A stare legendy i dawne opowieści, do których wracają, takie jak opowieść o Wotanie, „dzikim jeźdźcu”, trzeba uznać za bajki czy prawdę? To pobudzające umysły pytanie rozbrzmiewało od wieków, by zadźwięczeć *fortissimo* w filozofii Schellinga i niemal zupełnie zamilknąć w czasach pozytywizmu, który odebrał mitom ich blask, a we wszelkiej wierze widział jedynie przesąd.

Prawdziwym nazywamy wyobrażenie, które pozostaje w zgodzie z obserwowanym faktem. Różę odkrywamy, nie wynajdujemy jej. Jeśli jesteśmy niepewni jej postrzeżenia, możemy przyrzec się jej raz jeszcze, by się upewnić o jej wyglądzie. Z postaciami fantazji jest inaczej. Postaciom tym, jak się zdaje, nie odpowiada żadne doświadczenie w świecie zewnętrznym, dla nich nie da się znaleźć żadnego realnego odpowiednika, za którego pomocą można by je skorygować i uczynić wyraźniejszymi. Być może poeta rzeczywiście daje początek owym postaciom, które istnieją jedynie z łaski jego fantazji, i które w niej tylko istnieją. Ale może być i tak, że w jego dziele współdziała nieznany mu drugi Twórca. Sądzi on, że jest graczem, a jest jedynie pionkiem. Podczas gdy wymyśla i tworzy swe postacie, w jego twórczość niepostrzeżenie wplata się inna siła twórcza. Źródłem tej siły jest „nieświadomość” (ciągle jeszcze określa się ją tą niefortunną nazwą). To bowiem, co określa ten pozbawiony treści, czysto

negatywny termin, obejmuje obiektywny, mitotwórczy rdzeń duszy. Jego odkrycie pozostaje wielką zasługą Carla Gustava Junga. Pozwoliło ono w zdumiewający sposób wyjaśnić twórcze działanie fantazji ludzkiej, począwszy od marzeń sennych, poprzez poezję sakralną, aż po pozorne dziwactwa gnostycznej alchemii.

Tak więc „bogów” nie można spotkać w świecie zewnętrznym; tu nie ma niczego, w czym mogliby znaleźć obiektywne oparcie: należą bowiem do rzeczywistości duszy. Tam znajdują swą substancję. „Mity” i „bogowie” pojawiają się jako obrazowe projekcje obiektywnych i twórczych mocy psychicznych, znajdujących poświadczenie w marzeniach sennych i w poezji. Gdy zaś chcemy ujrzeć je ucieleśnione, w świecie zewnętrznym, to powstrzymuje nas przed tym pamięć o Kantowskiej krytyce. Jednakże również sama dusza należy do świata. Świat jest ojczyzną dla naszego wnętrza w takim samym stopniu, jak dla kamienia i drzewa. Dlatego też określenie „bogów” jako mocy bytu ma tak oszałamiająco głęboki sens.